

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Konferencya p. Cochín, o przyczynach nieporozumień między Paryżem a prowincyą.—Francya rozdarta na dwoje.—Rozprawy w Akademii nauk o szkodliwości centralizmu, w wydziale wychowania publicznego.—Uwagi pp. St. Clair Deville, Morin i Dumas.—Wojenne pieśni niemieckie.—Pieśń Bretona w Paryżu oblężonym.—Trzej towarzysze: ballada.—Henryk Regnault.—Wiersz na skon jego przez Manuela.—Morel Tatio.—Teodor Aligny.—Zamalkois Gobert.—Prosper Mérimée.—Ponson du Terrail.—Wystawa międzynarodowa obrazów w Wiedniu.—Obrazy historyczne polskiego pędzla: Przeprowadzenie jazdy polskiej do Jutlandyi, pod Stefanem Czarnieckim, obraz Brandta.—Książę Alba w Zamku Rudolsheim Leopolda Löfflera.—Książę Alba Bronisława Abramowicza.—Zygmunt Stary z wiewiórką.—Spotkanie królowej Jadwigi z Wilhelmem, Floryana Cynka.—Krajobrazy pp. Kubickiego i Gierzyńskiego, obrazy rodzajowe.—Igrzyska ludowe w Tyrolu: Defrayera.—Akwarelle Passiniego.—Jarmark w Krakowskim, Brandta.—Odwiedziny Roberta Szustra.—Ostatni dobytek góralski: Kotsitz.—Mały swawolnik Löfflera.—Architektoniczne obrazy Gryglewskiego.—Pożegnanie i powitanie pp. Streita i Kozakiewicza.—Rysunki Artura Grotgera.—Wystawa obrazów Schwindta na Tuchlauben.—Bajka o Meluzynie.—Koncert hr. Władysława Tarnowskiego w Wenecyi.

Wypadki spełniające się przed oczyma naszymi na wielkiej arenie paryzkiej, zmuszają nas do zwrócenia raz jeszcze uwagi czytelników naszych, na literaturę oblężonego grodu. Ludzie nauki widzieli od dawna tlejącą pod popiołem głównię, która miała wybuchnąć smutnym a zgubnym pożarem wojny domowej. Znali oni przyczynę złego, wskazywali ją ziomkom. Rakiem toczącym łożo francuzkiego społeczeństwa, był potwornie rozwinięty centralizm.

Do jakiego stopnia ta hydra wzmożła się w ciągu dwóch wieków, niechaj posłuży za przykład wydział naukowy. Francya licząca blisko 40,000,000 ludności, miała tylko dwa uniwersytety:

w Paryżu i Strasburgu; a nawet rzecby można jeden, ostatni bowiem jakkolwiek pełny, ograniczony był w swym rozwoju, wpływem pochłaniającego wszystko Paryża. Inne zaś główne miasta francuskie miały tylko niektóre fakulteta, tu prawa, tam medycyny i t. p. Łatwo wnosić jak szkodliwą była dla narodu podobna centralizacya w innych gałęziach rozwoju społecznego.

Podczas oblężenia, towarzystwa naukowe podjęły ten przedmiot, uważając go za najważniejszy dla przyszłości Francyi. Niektórzy uczeni rozbiegali go w sposób przystępny dla ogółu; powstał ztąd osobny oddział literatury oblężonej. Uważamy za obowiązek, dać go poznać czytelnikom naszym, chociażby w najogólniejszych zarysach.

Początki i bolesne następstwa centralizmu, krótko lecz dobitnie określił p. August Cochin, znany filantrop i ekonomista, w konferencyi 27 grudnia 1870. Dzień to pamiętny dla Paryża, w tym dniu bowiem nieprzyjaciel zdemaskował baterye, i pierwsze bomby uderzyły w Mont d'Avron.

Konferencya miała miejsce w sali konserwatorium muzycznego.

„Zimno, ciemno, noc! — zaczyna mówca — zebrani jesteśmy w sali obszernej a ponurą, niegdyś tak pełną ponęt, w sali, której ściany brzmią jeszcze uroczą harmonią. Słyszę tu niby żałosny jęk włoskiego wieszczu, kiedy woła przez usta potępieńców:

„Jest-że sroższa boleść nad wspomnienie chwil szczęścia wśród niedoli”.

Po tym wstępie mówca bez goryczy, bez szyderstwa, rozpoczyna obrachunek sumienia narodowego.

„Dziś, nie czas nam pozować — mówi on — nie czas nam sadzić się na piękne słowa. Dziś obowiązkiem naszym powiedzieć sobie w oczy prawdę, gorzką prawdę! Dwa powody skłaniają mnie do tego: pierwszy że prawda zbawia, drugi że kłamstwo przywiodło nas do zguby! Tak zaprawdę, kłamstwo zgubiło nas! Przez dwadzieścia lat bowiem, Francya przekonana była że buduje gmach granitowy, a był to gmach lepiący z papieru! Francya działając na oślep usiłowała zapewnić sobie dobrobyt, a znalazła bankructwo, chciała odzyskać moralność, a spotkała zepsucie; pragnęła ugruntować stały pokój, a wpadła w najstraszniejszą wojnę: słowem nie zwalając winy na drugich, co uważam za rzecz niegodną, dodam tylko że ostatnie lat dwadzieścia, były jakoby reprezentacją teatralną, odegraną przy sztucznych dekoracyach, zakończoną smutnym pożarem“.

Zwracając się do chwili obecnej, mówca wynurza zbyteczną łatwowierność, z jaką Paryż nakłania ucho na poszepty naganiające działania rządu obrony, rządu, który pomimo niedostatków swoich, ma tę wielką zasługę, że przyjął na ramiona najcięższe brzemie, jakie cisnęło kiedykolwiek ludzkie barki, że podjął

z barłogu sponiewierany sztandar Francyi, że nie zwątpił nigdy o narodzie, nie zwątpił o Paryżu.“

Z powodu tych codziennych dogryzków, tych dotkliwych szpilkowań, przytacza p. Cochin bardzo trafnie słowa Abrahama Linkolna: Dnia jednego w ciągu téj strasznej wojny, która przez lat pięć trapiła Stany Zjednoczone Ameryki, znudzony ostremi pociskami krytyków, Linkoln z właściwą sobie prostotą rzekł do najzaciętszego z zapaśników swoich: „kiedy patrzym na Blondina, jak po wyciągniętej linie przechodzi nad Niagarą, nie przyjdzie wam nawet do głowy wystąpić z niewczesnym zarzutem: Blondin źle zawiązał dziś krawatkę! Blondin niedbale uczesany! Nikt z was nie powie tego, ale każdy wstrzymuje w piersi oddech, stoi jak wryty, milczy i czeka aż Blondin przejdzie na drugi brzeg wodospadu. — Otóż moi panowie! i ja także jak Blondin, po wyciągniętej linie przechodzę nad wodospadem Niagarry! nie czas wam pytać czy suknia moja dobrym zrobiona krojem, czy ręka obciśnięta rękawiczką! Zatrzymajcie oddech, stojcie spokojnie, pomóżcie mi raczej przejść nad otchłanią, z narodowym sztandarem, który piastuję w ręku.“

Mówca przychodzi nakoniec do głównego przedmiotu konferencji: określenia stosunku Paryża z prowincją.

„Do najzgubniejszych kłamstw, jakie wtrąciły Francją w nieszczęśliwy stan dzisiejszy — mówi on — należą owe nikczemne potwarze, rozsiewane, nie od dwódziestu ale od dwóstu lat, potwarze, które skłóciły prowincją z Paryżem! Rozdarto Francją na dwie Francye, naród na dwa narody! wzięto się do tego z niesłychaną sztuką, ze skrytym wyrachowaniem. Uchylmy dziś ową tajemniczą zasłonę. Tak jest, powtarzam, nie od dwódziestu lecz od dwóstu lat kopano tę głęboką przepaść, jaka dzieli obecnie Paryż od reszty kraju.“

Piękny dwór Ludwika XVI, świetny z pozoru a skażony w gruncie, wspaniały a złowrogi, podniósł królewskość do najwyższego blasku, a zarazem stał się jej grobem. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tymże Wersalu, na tym grobie starożytnéj monarchii francuzkiej, powstaje dziś oto nowy Cezar!“

„Tam zaczęto dzielić naród na dwie połowy, na dwór i prowincją, na miasto i wieś, tam poważono się odróżniać stolicę od innych części kraju. Rozdział taki nie istnieje nigdzie za obrębem Francyi. W sławnej to sali wersalskiej *Oeil de Boeuf*, wymówiono po raz pierwszy nedorzeczne słowa, dziś jeszcze powtarzane w Paryżu. Nie jeden z wielkich panów, mówiąc o drugim więcej może od siebie zasłużonym, wyrażał się z przyciskiem: *to szlachta z prowincyi!* Tak samo dziś jeszcze na ulicy St. Denis albo Temple, mieszczanin zapraszając przyjaciela na obiad, mówi zakłopotany: „przebacz mi, zastaniesz u mnie krewnych; śmieszni trochę! — to krewni z prowincyi!“

„Otóż więc, tak wielki pan z Wersalu, jak mieszczanin z St. Denis, powtarzając podobne słowa, popełniał zbrodnię z której inni zżecznie korzystali; zbrodnię przeciw naturze, przeciw ojczyźnie, przeciw dziejom! Rozdzielać Francją, to zapoznawać najcudowniejsze dzieło ręki Bożej. Niema bowiem na świecie ludu ściślej zespolonego węzłami miejscowości, historii, pojęć i ducha, jak jednolity lud francuzki.

„Stwórca zakreślając obręb ziemi naszej przeznaczył ją do najdoskonalszej jedności. Uderza to za pierwszym rzutem oka. Zobaczmy jak ta Francya, którą dziś widzimy tylko w wyobraźni, przedstawia się na mapie. Zarysowana w kształcie regularnego czworoboku, rozsiadła się szeroko na dwóch morzach. Z tych jedno oblewa błękitnemi falami wybrzeża Włoch i Grecyi, ojczyznę Wirgillego i Homera, gdy tymczasem wały Atlantyku sięgają po najdalsze krańce ludzkich siedzib. Ta ziemia we wnętrzu swoim, kryje nieprzeliczone skarby; powierzchnia jej cudownie urodzajna. Klimat tu jednostajny, niebo czyste obdarza na przemian dobroczynnem słońcem, dżdżem i rosą. Szerokie tu rzeki, wysokie góry, gęste lasy, wspaniałe zatoki i głębokie przystanie; dostatkiem tu chleba, wina i wełny: słowem, nie znaleźć na całej kuli ziemskiej, dogodniejszego miejsca na siedzibę dla wielkiej rodziny ludu. Rodzina to najliczniejsza ze wszystkich jakie istnieją w Europie, złożona z jednostek podobnych do siebie postacią i usposobieniem, połączona jednym językiem, jedną wiarą, jednym duchem. I cóż dziwnego, że ci ludzie zespoleni prawami przyrody na owej ziemi tak uroczej, tak wydatnie odgraniczonej, wysnuli z siebie nieporównane pasmo dziejów. Rzućmy oto wzrokiem na te historyczne wyzyny, a zobaczymy z nich wielkie typy Sgo Ludwika, Joanny Darc, Sgo Wincentego à Paulo, Kartezyusza Turend, Kondensza, Bossueta, Kornela, Moliera, Mirabeau, Napoleona, Turgota: a jeżeli zostawiając na boku jednostki, zechemy badać owe myśli twórcze jakie Francya wprowadziła w życie na pożytek ludzkości, ileż znajdziemy pobudek do podziwu i uwielbienia! Gdyby nawet wymazano Francję z liczby państw, to co Francya wykonała, czyni ją nieśmiertelną. Idee postępowe jakie wydały z siebie narody, nie zacierają się nigdy na moralnem obliczu tych narodów!

Oi którzy śmieli rozedrzeć taką jedność, przemienić uczucia miłości bratniej, w nienawistny rozdział, popełnili powtarzam wielką zbrodnię. Jakim sposobem dokonano tego? przez oszczerstwo!

Mówiono Paryżowi że Francya jest śmieszną; mówiono Francyi że Paryż niebezpiecznym. Powtarzano raz po raz Paryżowi, że mieszkańcy z prowincyi zacofani w pojęciach, oddani zabobonom, że lud ciemny żyje po norach, niezdolny wydobyć z siebie zdrowej myśli. Prowincyi zaś szeptało z jednej strony, że Paryż to istne Eldorado, kraj czarodziejski, gdzie złoto napływa samo do

rań, gdzie rokosz upaja człowieka. Z drugiej strony ostrzegano, że to przepaść, jaskinia zatruta śmiertelnym wyziewem, że to wrzód społeczeństwa francuzkiego, wulkan wyrzucający z łona płomień i błoto na przemiany! Mówiono także Paryżowi, że prowincya nie potrzebna, że przy wolności handlu świat cały stał się naszym targowiskiem, że miasta przestały być ogniskami intelligencji, że lud zatracił dawne cnoty i obyczaje.

„Oszczerstwa takie powtarzane bez ustanku utrzymywały w sercach rozjątrzenie. Od lat pięćdziesięciu krążyła z ust do ust powiastka, jakoby raz w roku 1815, dwaj wodzowie nieprzyjacielscy, poglądali nocą na Paryż z wyżyn Montmartre.

— Patrz na ten gród rozpostarty u stóp naszych — przemówił jeden do drugiego — a gdyby go też spalić?

— Dajmy pokój — odparł drugi — niech Paryż żyje, on po mału zatruje Francję.

„Na prowincyi powszechne panowało mniemanie, że Paryż to stek bezładu i zepsucia, że prowincya jedynie przechowywała zasady moralności; że Paryż uosabia występki, prowincya cnotę; że Paryż błyszczy bogactwem złe nabytym, że prowincya znosi z godnością, czyniące jej zaszczyt ubóstwo. Tym sposobem zrobiono z Francyi dwa narody, a te dwa narody nauczyły się żyć i wierzyć, myśleć i wotować niezależnie od siebie. Dowodziły tego wybory. I czemuż tak spotwarzono Francję? Łatwa na to odpowiedź. Trzymano się starej zasady: *Divide et impera!*“

Na poparcie zdania swego, mówca przypomina dowcipnie odwieczne podanie bretońskie o kukułce. W Bretanii przesiąknięj na wskroś tradycją, panuje zabobonne mniemanie, że kukółka przynosi szczęście temu, kto ją pierwszy posłyszysz wiosną. Otóż dnia jednego dwóch braci, razem orało w polu. Kukółka zakukała. Brat jeden rzecze do drugiego: „Ja posłyszałem ją pierwszy, mnie ona wróży dobrą dolę. Idę co żywo kupić dom od sąsiada, o czém oddawna już myślałem.

— Mylisz się — rzecze drugi — kukółka dla mnie kuka, idę sprzedać na targu siwą klaczkę. Przyszło do sporu: zniecierpliwieni bracia udali się nakoniec do sędziego.

— Panie sędzio! — wyrzecze młodszy — chcięj jako człowiek stateczny i doświadczony, wejrzeć dobrze w tę sprawę. Brat mój utrzymuje, że kukółka dla niego zakukała, ja zaś utrzymuję, że dla mnie.

Sędzia zamyślił się głęboko. — Niechaj każdy położy tu pięciofrankówkę, — rzecze nakoniec. Bracia uczynili zadosyć zadaniu. Sędzia schował pieniądze do kieszeni.

— A widzicie — rzekł — iż kukółka zakukała dla mnie!

Francya znalazła się w położeniu dwóch braci: spory Paryża z prowincją wychodziły trzeciemu na pożytek!

„Oblężenie grodu naszego — ciągnął mówca — dało nam nie jedną zbawienną naukę; przekonało nas, że te odwieczne niesna-

ski pomiędzy Paryżem a prowincją, są prostém nieporozumieniem, że w gruncie rzeczy jesteśmy wszyscy braćmi, synami jednychże rodziców, dziećmi téj saméj ziemi; że nas łączą jedne powinności, jedne przeznaczenia, jedna praca, jednake cele! Dowiedliśmy tego walcząc razem za jedną sprawę, pod tymże samym sztandarem. Wielka nauka jaką dało nam oblężenie Paryża, zapisana nie na kartach historii, ale na ziemi naszej, krwią naszą, pomieszaną krwią Paryża i prowincyi!“

„Z poza krat wielkiego więzienia— mówi dalej,—okazałem wam kwitnące grody, rzeki i strumienie wijące się po łąkach, i ukłoszone pola, i zielone winnice, i szumiące lasy, słowem wszystko co sprawa, że według naiwnych słów kroniki, po królestwie niebieskiem, Francya najpiękniejszém jest z pomiędzy królestw świata. Ale nad obraz jaki dałem, jest inny nierównie wspanialszy i dostojniejszy, obraz w jakim się dziś Francya przedstawia oczom waszym.

Tu mówca przypomina te pyszne grody i warownie: Strassburg, Metz, Orlean, Chateaudun, zalane krwią, zasłane kupą gruzów. Niemniej obrazowo stawia przed oczy słuchaczom, owe gromady ludu, szukające schronienia i opieki, na łonie tego miasta, które niedawno przedstawiano im jako Babilon, Gomorę i Niniewę.

„Czy pamiętacie — pyta—one ubogie wioski, pełne kobiet, dzieci, starców i rannych żołnierzy. „To Lotaryngia!... to Alzacya!“.. mówiliśmy patrząc ze łzami na nich. Czy pamiętacie z jakim zapalem, z jaką nadzieją witaliśmy tę dziarską młodzież, przybiegającą do nas z najdalszych krańców ziemi naszej, od brzegów oceanu, od podnóża Alp i Pirenejów! tych dzielnych Bretonów, Burgundów i Bearnów, gotowych cierpieć i umierać z nami! Wspólna boleść pojednała zwaśnionych braci, krew razem wytoczona, niech wiekuistą pieczęcią stwierdzi bratnią miłość i zgodę!

„Oblężenie— woła nakoniec mówca—przyniesie nam dobroczynne owoce, ale potrzeba nam zagrzebać się w zwaliskach. Zrozumiejmy się dobrze. Nie mówię ja o domach, o gmachach i pomnikach naszych, nie mówię o naszych osobach ani o naszym mieście. Zagrzebmy w zwaliskach najzaciętszych wrogów naszych, wzajemne nienawiści i rozdrowienia, odwieczne przesady i zwady. Niechaj prowincya zagrzebie niewczesną trwogę i zastarzałe urazy do Paryża; niechaj Paryż zagrzebie pogardliwą pychę i stare grzechy swoje. Oblężenie przyspieszyło już wielkie dzieło pojednania Francyi; możemy śmiało powiedzieć do nieprzyjaciół naszych: „wskreszajcie wy sobie cesarstwo! lepszy nam dział przypaść za prawdę: nam pracować nad odbudowaniem narodu!“

Wspomnieliśmy wyżej, jak szkodliwą dla Francyi była centralizacyą naukową. Wymownie świadczą o tém zdania członków akademii nauk, wyrzeczone na jednem z posiedzeń publicznych, podczas najgorętszych chwil jakie stolica przeżywała; powtórzymy własne wyrazy uczonych specjalistów, gdyż te lepiej malują dotychczasowy stan Francyi i widoki na przyszłość, niżby to wykazać mogły wielotomowe dzieła.

Złe tak się głęboko zakorzeniło, tak do niego wszyscy przywykli, że potrzeba było nadzwyczajnych klęsk kraju, aby rozbudzić sumienie narodowe, wywołać publiczne wyznanie winy i konieczność spiesznej reformy. Pierwszym który się odważył rzucić grom potępienia na wszechwładztwo uniwersytetu paryzkiego, był właśnie jeden z najznakomitszych jego członków p. St. Clair Deville.

„System edukacyjny — wyrzekł on — system rządzący nami we Francyi od lat ośmdziesięciu, zgubny jest i fałszywy; poddaje bowiem ludzi naukowych pod dozór urzędnikom administracyjnym, i czyni ich zależnymi od politycznego prądu; pozwala traktować sprawy naukowe i wychowania publicznego, podrzędnym biórom pozbawionym naukowej kompetencyi, obojętnym na rzeczywisty postęp. Jestem członkiem uniwersytetu, ale oświadczam tu i przysięgam na moje sumienie, że nasz system uniwersytecki doprowadzi Francją do zupełnej ciemnoty.“

Jenerał Morin z równie gorącym przeświadczeniem udowadniał liczbami szkodliwość centralizacyi w wydziale nauk wojskowych. Prusy posiadają dwanaście instytutów politechnicznych, po różnych częściach kraju, przez co wyższe nauki wojskowe upowszechniają się w massach; kiedy Francya tymczasem na 37,000,000 mieszkańców ma jedyną tylko szkołę politechniczną.

Zabrał nakoniec głos uczony chemik Dumas. „Centralizacya — rzekł on — jaką przedstawia nasz uniwersytet, zabójczą jest dla wszelkiego wykształcenia. Powinniśmy mieć kilka niezależnych od siebie uniwersytetów (czemu nie kilkanaście), któreby z sobą współzawodniczyły, jak się to dzieje w Niemczech. Francya pod tym względem daleko wolniejszą była przed wielką rewolucyą, współzawodnictwo bowiem między prowincyami, objawiało się i w wydziale wychowania.“

Takie rozprawy akademików francuzkich, takie konferencye jak p. Cochin, wyjaśniają najlepiej potrzeby Francyi, w dzisiejszych chwilach jej przeobrażania się radykalnego. Na ten to oddział literatury obłączniczej, powinni zwrócić szczególną uwagę ci wszyscy, którzy chcą sobie zdać sprawę z dzisiejszych wypadków. Owe nawet zjawiska tak nadzwyczajne i chaotyczne jak paryzka komuna, stają się przystępnymi dla badań naukowych i przedstawiają się z nowej zupełnie strony, gdy oceniając je mamy na uwadze zdania ludzi poważnych, nawet konserwatystów jak p. Cochin i członkowie akademii. Decentralizacya radykalna, oto dziś hasło wszystkich ludzi postępu; różnią się tylko w obiorze dróg prowa-

dążących do mety. Co do nas przekonani jesteśmy, że przyszły ustrój Francyi, przynajmniej pod względem naukowym i literackim, który nas tu głównie obchodzi, ugruntuje się na zasadach silnego prowincjonalizmu.

Podczas gdy Francya opierając się na potrzebach cywilizacji właściwej plemieniu Gallów, dąży tak stanowczo do zerwania krępujących ją pęt centralizmu; przeciwnie zaś ludy niemieckie, które nigdy nie były silnie zcentralizowane, dążą jednomyślnie do skupienia wszystkich sił narodowych. Objawy tej dążności, widoczne nie tylko w literaturze naukowej, lecz nawet w pieśniach ludu.

Mnóstwo podobnych pieśni znajdowali Francuzi po poległych żołnierzach, i ogłaszali je drukiem dla wykazania myśli ożywiającej dziś bitnych potomków Arminiusza; pieśni te nacechowane zaciętą nienawiścią: czuć tu wyraźny powiew Nibelungów. Główny charakter ich stanowi silna wiara w jedność ojczyzny niemieckiej. Oto jedna z tych pieśni bojowych:

I.

Wieżą proporce — pochwyćmy szablę — przypasźmy miecz! —
Niemieckie ludy — w zastęp olbrzymi — złączone wraz. — Od Alp
krawędzi — po morskie brzegi — burza już wre! — Biała zuchwałym —
co zakończą — do naszych wrót! — Kto żyw z rozkoszą, —
poświęci mienie — i stoczyć krew!

II.

Wieżą proporce — wiatr niemi straszno — szeleści już! — Niech
Bóg zastępów — szeregom naszym — zwycięstwo da! — Musim
zwyciężyć — rychło zwyciężyć — gdy skończym bój — wrócim do
ognisk — do żon i dzieci — w domowy próg. — Wichier złotemi —
powiewa łany — nagina kłos. — Dalej żniwiarze, — ścielmy pokosy —
z ubitych ciał!

III.

Orzeł Buloński — w dumnym polocie — niechaj szydzi
z nas! — Ten co na chwilę — wienczy koroną — zuchwałych skroń —
Ten co mu sypał — zwyciężkie wience — rzecze: „już dość!“ —
Blask austerlickiej — zagaśnie chwały — wśród mętnych chmur! —
Niech cię dosięże — gniewu Bożego — potężny grom!

IV.

Z szumem roztacza— szerokie fale— ojciec nasz Ren! — Zielone stopy— winogradowych— obmywa wzgórz.— Drogiego plynu — z jagód niemieckich — nie dobyć wam! — Obcego pana — Ren już niecierpi— po wieków wiek! — Górą proporcel — rzućmy się chyżo — na wrogi kraj.— Słodkim szampanem — w jego ojczyźnie— pokrzepmy pierś!

V.

W dumie zuchwałej— od nas tys listu — podłego chcia!— My list napiszem— ostrzem szablicy— żył naszych krwi!— Bóg naszą rękę— na zgubę twoją— powiedzie sam.—Ogień połyska — belki zadrząły— wali się tron!

VI.

Niech śmierć powionie — czarnemi skrzydły — nie strwoży nas!—Żegnaj nam świecie— niech noc na oczy— zapadnie nam!— Bo na niemiecką — pada ojczyznę— słoneczny blask! — Kamień węgielny — przysztęj jedności — położon jest — Północ z południem— spaja na wieki— srebrzysty Men!

Przytaczamy jeszcze drugą pieśń, nacechowaną tymże samym duchem. Obie należą jak widać do początków wojny: głównie odbija w nich nieprzebragana nienawiść do Napoleona.

I.

Wyjdźże z pochwy szablo rdzawa!— Szablo wierna, zstąp ze ściany! — Trąba woła nas do boju — Na zwycięztwo lub na śmierć! — Dla was Niemcy, bracia moi, — Nowej zorzy wschodzi brask!

II.

My nie znamy dziś Prusaka — ani Szwaba, ni Bawara — Znamy tylko jeden zastęp—my niemiecki znamy lud!— Pierzochły kruków czarne stada— Stary Cezar ze snu wstał!

III.

Porzuć kielnię, porzuć pług! — W rękę ostry pochwyć miecz!— Stary ojcze! matko stara!— Wasze syny dajcież nam!—

Ty dziewico narzeczona — Ślubny wieniec z czoła zdejm! — Ukochany twego serca — dziś na krwawy idzie bój.

IV.

Bracia Niemcy w pochód czas! — Broń na ramię, w rękę miecz! — Król proporzec podjął stary. — Hej na łowy spieszymy z nim! — Czy słyszycie grzmiące hasła! — Do Paryża spieszymy wraz! — Naszém hasłem: niech przepada — Korsykanów sępi ród.

Podobną zapewne pieśnią, zagrzewały krew w sercach zastępy Argowista, gdy z puszczy Hersyńskich wylegały na Galię!

Obok tego wykrzyku buty germańskiej, przytaczamy nowo utworzoną pieśń Bretonów, w której przechowały się tak żywo tradycje rycerskie z czasów króla Artura.

Bretonowie z armii czynnej, równie jak mobile i marquaile, spojeni ściśle duchem bratnim, utworzyli towarzystwo wzajemnej pomocy. Zupełna równość stanowi podstawę towarzystwa: Generał Trochu tak samo jak i prosty kміeć z Vannes lub Pluermel, opłaca składki fr. 10. Na zebraniu tego towarzystwa, jeden z członków, oficer marynarki, odczytał w celtyckim języku wiersz przypominający zupełnie owe pieśni ludu ze sławnego zbioru *Barzas-Brais*. Dajemy ją tu w przekładzie:

Pieśń Bretona w Paryżu oblężonym.

Smutneż to wieści wiatr z rosą niesie,
Po szczerém polu, po głuchym lesie,
Szepczą, oj szepczą starzy i młodzi:
„Francuzką ziemię obey nachodzi,
Król w złotym hełmie rąco się zbliża,
Z wojskami swemi do bram Paryża.”

Na wsie i miasta wieść chyżo leci,
Słyszą ją zamki i chaty kміeci:
„Krew braci naszych bruzdami płynie,
Namże przy ciepłym siedzieć kominie?
Brakłóż odwagi w sercu Bretona?
Nie płacz-że, nie płacz matko rodzona;
Niech się twe serce bardzo nie trwoży:
Włos nam nie spadnie bez woli Bożej.
Święta nas Anna wesprze w tój biedzie,
Z wojny szczęśliwie do dom przywiedzie.”

Na to Bretonki odrzekną śmiało:
— „Iść wam na wojnę chłopcy przystało.
Gdy się po kraju strugi krwi toczą,
Na pomoc braciom spieszczcież ochoczo;
A my niewiasty pójdziem też razem

Świecę przed Maryi zatlić obrazem,
I co poranku trzykroć dokoła
Obiegniem święte mury kościoła."

I suche było tych niewiast oko,
Bo łzy ukryły w sercu głęboko.

Dnie i tygodnie płyną bez wieści,
Wzbiera tęsknota w duszy niewieściej,
Aż dnia jednego o wschodzie słońca,
Pani z Kernaku wyprawia gońca.

Goniec do zamku wraca niedługo:
— „Cóż tam widział wierny mój sługo?"

— „Wkoło wielkiego widziałem grodu
Nieprzeliczone chmury narodu,
Setki tysięcy... istne mrowiska!
Hełm ich złocisty w słońcu połyska.
Toć i do grodu przystęp nie łatwy.
Siłaz na wałach paryzkiej dziatwy!
Gromady ludu stoją tam z niemi
Z dalekich krańców francuzkiej ziemi,
Zbiegłoz ich w pomoc wiele.. oj wiele!
Nasze Bretony wszędzie na czele,
Gdzie rzucić okiem garść ich nie mała.
W forcie Bretony z lontem u działa.
Oni po mętnej Sekwany wodzie
Okute blachą prowadzą łodzie;
Z którejbądź kule zagwizną strony,
Hurmem na ogień lecą Bretony.
I ten co wielkim dowodzi grodem,
Szczery téż Breton sercem i rodem:
Błogosław Boże téj ziemi syna!
Niech godnie dzierży, miecz Duguesklina,
Niechże jak tamten z obcej powodzi
Mężném ramieniem Francję oswobodzi:
Niech pamięć jego przeżyje wieki!"

— „Coś widział jeszcze w stronie dalekiej."

— „Na Chatillonu widziałem górze
Cudzego ludu gromady duże,
Hełm ich żelazny, ozdobion w złoto,
Zbiegli się istne kawki przed słotą;
Aż oto na nich skoczą z za szanca
Nasze Bretony niby do tańca.
Świsnęły kule, brzękły pałasze,

Dzielnież się biją te zuchy nasze!
Krew wytrysnęła czerwoną strugą!

— „Siłaz ich legło? mów... wierny sługo.”

— „Kto ich policzy, pani jedyna!
Widziałem we krwi twego też syna:
W głowę żelazem padł ugodzony.
Lecz twardą głowę mają Bretony,
Chyba na miazgę zsiechy go trzeba,
Zaczém Bóg duszę weźmie do nieba:
Śmierć go nie łatwo pochwyci w kleszcze.”

— „Mów dalej, sługo, coś widział jeszcze.”

— „Widziałem, pani, śniłoż się komu
Słowo *Braterstwo* na murach domu.
Braterstwo u nas rzeczą nie nową,
Lecz zapisujem w sercu to słowo.
Gdy brat nasz padnie, dźwigniem go z ziemi,
Ulę mu słowa niesiem słodkimi;
Mówim o Bogu, o matce miłej,
I wnet mu skrzepim serce i siły,
A gdy śmierć skrzydłem oczy mu zaćmi,
Snadniej mu skonać pomiędzy braćmi!

Wtedy my liścik ślemy do wioski:
„Poddajcież głowę pod wyrok Boski,
Syn wasz nie spocznie w ziemi święconej,
Pod omszałemi krzyża ramiony;
Lecz niech się serca wasze nie trwożą:
On pod szczególną opieką Bożą.”

Jakaz to niestychana różnica między tą pieśnią a dwoma powyżej przytoczonymi! Znalezliśmy jednak i w niektórych pieśniach niemieckich, spokojną a rzewną zadumę, tę prawdziwą cechę poezji czysto ludowej. Jedną z tych pieśni dajemy tu w przekładzie:

Trzej towarzysze.

(*Ballada*).

W pomroku nocy światło połyska,
Tam obozowe stoją ogniska;
Szept głuchy nocną przerywa ciszę:
Gwarzą przy ogniu trzej towarzysze.

Gwarzą o bitwie smętnemi słowy
A myśl ich sięga za próg domowy,
Słodkoż to będzie, słodko po wojnie,
Przy swém ognisku zasiąść spokojnie.

Jeden z zanadru wydobyl flasze:
„Gdy — rzecze — wioskę zegnałem naszą,
Jam ją otrzymał z rąk mojej miłej;
Nieraz to w boju krzepię nią siły.

Kiedy powitam domowe ściany:
Siądę na ławie przy ukochanej;
Od boku twardy pałasz odpaszę:
Na cześć jej do dna spełnię tę flasze.”

Drugi wydobyl chusteczkę białą,
Do towarzyszków rzecze nieśmiało:
— „Ona to sama igielką wprawną
Te cudne wzorki szyła niedawno.

Gdy się wojenna zakończy burza,
Nim zakłaczę do wrót podwórza;
Z daleka na nią chustką powionę,
Niech się ukoi serce strwożone.”

Trzeci w ognisko utopił oczy,
Łza mu po licu z cicha się stoczy:
„Drogięj pamiątki nie szukać u mnie;
Ona od dawna spi w cichój trumnie.

Już mnie nie znęca domowe progi,
Bo duszą tęsknię do niej niebogi;;
Tyle nad głową kul nam przelata:
Gdybyż mnie która zmiotła ze świata.”

*

*

*

I znów nocą światło połyska,
Znów obozowe świecą ogniska;
Wiatr tylko głuchą przerywa ciszę:
Znów się zebrali trzej towarzysze.

Jeden powalony leży bez ducha,
Krew mu strumieniem z serca wybucha;
Płomień połysnął i w głębi rany,
Odkrył czerepy flaszy strzaskanój.

Drugiemu nawet nie dojrzyć lica,
Skróń mu rozbila twarda szablica;
A purpurowa chusteczka leży,
Z krwi nie ociekła na ranie świeżej.

A trzeci rzecze: „Mnież się nie czepli
Miecz ani kula? umrzećby lepiej,
Wszak urok życia już mnie nie mami!”
Patrzy na trupy... zalał się łzami.

Francya w tych smutnych czasach przejścia, poniosła nieobliczone straty na polu sztuki i literatury. Zapisujemy ten długi szereg imion zasłużonych pod rozmaitym względem. Szereg ten zaczynamy od imienia Henryka Regnault najgenialniejszego z dzisiejszych malarzy francuzkich. Urodzony w Paryżu r. 1843, poległ on pod murami oblężonego grodu 19 stycznia 1871 r.

Henryk był synem sławnego fizyka Wiktora Regnault, żyjącego dziś jeszcze, professora w kolegium francuzkiem, dyrektora fabryki porcelany w Sévres, członka instytutu w wydziale nauk ścisłych.

Dwudziesto-siedmioletni artysta. świecił już pierwszorzędnym blaskiem w dziedzinie sztuki. Paryż witał w nim przyszłego twórcę i naczelnika nowej szkoły.

Talent jego objawiał się od lat dziecięcych. Mając lat ośm ulepił z gliny konia, którego ojciec dotąd zachował na pamiątkę. Jedyna to próba jego rzeźby. Odkąd pochwycił pędzel, nie wypuścił go z ręki.

Nauki pobierał w *Liceum Napoleona*, gdzie należał do zdolniejszych uczniów. Professoreм historyi był tam Duruy przyszły minister oświecenia. Razu jednego professor kazał chłopcom napisać ćwiczenie na temat: Śmierć Witeliusza. Mały Regnault wywiązał się nad podziw; ale zamiast pisania nudnej rozprawy, nakreślił piórem rysunek oddający najwierniej zadany przedmiot. Jak niegdyś Owidyusz, który nie umiał mówić inaczej jak rymami, Regnault umiał tylko rysunkiem, wyrażać dokładnie myśl swoją.

Chętnie jednak uczył się wierszy greckich, łacińskich i francuzkich. Dusza jego rozmiłowana w poezyi, chwytła ją we wszelkich objawach, w każdej formie. Mając zaledwie lat szesnaście wykonał piórem dwanaście prześlicznych rysunków do poezyi Andrzeja Chenier; później ilustrował poezye Musseta.

Gdy ukończył nauki w kolegium, ojciec umieścił go w pracowni Lamotha, następnie Cabamla. Młodzian pochwycił za pędzel z niesłychanym zapałem; malarstwo stało się wyłącznym celem jego życia.

W wolnych chwilach oddawał się muzyce. Szczególny urok wywierały na nim arcydzieła Rossiniego, chętnie też spędzał wieczory w teatrze włoskim, przysłuchując się ulubionym melodyom,

później zamiłował fanatycznie kompozycje Ryszarda Wagnera: wszystko co piękne czarowało go, bez względu na różnicę szkoły.

W r. 1863 wykonał pierwszy obraz konkursowy w celu pozyskania nagrody rzymskiej. Zadano jako przedmiot ustęp z życia Koryolana. Według powszechnego zdania krytyków, mianowicie Teofila Gautier, utwór młodego Regnault'a przewyższył inne rzeczywistą wartością: premium otrzymał przecież szczęśliwszy współzawodnik. Sędziowie uznali że dwódziestoletni artysta, może poczekać na wieńce, które nie ominą go później. Zawód spotkany na pierwszym kroku ubół dotkliwie młodziana, w roku też następnym, nie posłał nic do konkursu, pomimo nalegania przyjaciół. Za to na wystawę w r. 1864, dał dwa piękne portrety; z tych szczególniej portret dziewczyny z rudym włosom zwrócił na siebie uwagę publiczności.

Zachęcony powodzeniem wykonał konkursowy obraz: *Tetis podającą Achillesowi oręż ukuty przez Wulkana*. Utwór ten zjednał mu wielkie premium rzymskie. W gronie sędziów byli jednak tacy, którzy chcieli go wyłączyć od konkursu, a to z przyczyny że odstąpił cokolwiek od przepisanej formy. Starzy rutyniści, mogli pojąć młodziana pełnego siły twórczej, którego geniusz wyrwał się gwałtem z narzuconych mu karbów.

Obraz ten zwrócił powszechną uwagę na młodego malarza: podziwiano w nim układ osób i harmonię kolorytu.

Pełna wdzięku głowa Tetidy, pięknie odbijała, przy smugłem obliczu Achillesa, w którym artysta odtworzył własne rysy. Dziwne to zaprawdę zbliżenie. I Regnault jak Achilles, miał umrzeć młodo, otoczony jak on nieśmiertelnym promieniem sławy.

W końcu roku 1866 młodzian udał się do Rzymu: zamieszkał w Villa Medici. Tam malował portrety i studia, rzucał na płótno szkice; kreślił rysunki do drzeworytów, przedstawiające widoki wiecznego grodu. Chciwy wrażeń zwiedzał galerie i muzea; przebiegał konno uroczą kampanię Rzymu.

Z powodu cholery, szkoła francuzka w Rzymie zamkniętą została: Regnault pośpieszył do Paryża na wystawę powszechną.

Powrócił do Włoch z końcem r. 1867. Wkrótce przygotował konkursowy obraz Automedona do akademii sztuk pięknych, w tymże czasie dał na wystawę paryżką portret młodej kobiety, za który otrzymał złoty medal. W obrazie tym przełamał zwycięzko trudności kolorytu. Suknia czerwona aksamitna, wybornie odsłakuje od makaty czerwonej.

W rok potem jesienią, chory w skutek pracy i klimatu rzymskiego, przyплыwa do Marsylii; tam dowiaduje się o wypadkach hiszpańskich. Przekonany silnie jak Salvator Rosa i Benvenuto Cellini, że dla artysty nie dosyć jest trawić życie w pracowni, z pendzlem w ręku, lub badać po muzeach arcydzieła mistrzów, spieszy co żywo do Hiszpanii, gdzie się odgrywa żywy dramat. Nie mało plonów zebrał on na tém polu.

Wkrótce przysłał z Madrytu do Paryża, sławny portret konny generała Pryma. Sam generał zamówił ten obraz, ale przyjął go nie chciał z powodu pomieszczonej na drugim planie, malowniczej grupy powstańców.

— Kto panu kazał malować mnie z tym motłochem? — rzekł dumnie naczelnik rządu tymczasowego do artysty.

Regnault uśmiechnął się; poznał czém bywają demokratyczne uczucia wielu sławnych przewódców, którzy posługując się ludem, widzą w nim tylko narzędzia własnego wyniesienia.

Portret Pryma stał się przedmiotem powszechnego podziwu w salonie r. 1869. Krytyka nadała mu wielki rozgłos. Jedni podnosili wysoko talent młodego malarza, drudzy, rutyniści, surowo chłostali zuchwałe nowatorstwo. Sąd przyznał artyście złoty medal.

Regnault w postaci Prima skreślił niejako obraz współczesnej Hiszpanii. Orlim rzutem oka pochwycił on charakterystyczne rysy narodu; oddał je z całą prawdą.

Arcydzieła sztuki hiszpańskiej, zwłaszcza Velasquesa i Goya, wyborną były szkołą dla młodego artysty. Znać wpływ tych mistrzów w śmiałych rzutach pędzla i w ciepłym kolorystyce obrazu. Koń Prima oddany z nieporównaną siłą.

Regnault przysłał na też wystawę portret kobiety w stroju andaluzyjskim; w różowej sukni z czarną mantylą na głowie, utwór pełen wdzięku i prawdy.

Całoroczny pobyt w Madrycie, stanowi ważną epokę w życiu młodego malarza. Geniusz jego przychodzi do pełnego rozkwitu, zdobywa samodzielność. Tam naszkicował on sławną Judytę, straszną w piękności swojej, owianą w draperye z góry rzucone tak mistrzowsko, tak ciepłe kolorytem. Obraz Judyty wykonał później w Rzymie.

Na ulicach Madrytu zebrał mnóstwo ciekawych typów, jakie tylko napotykać można w Hiszpanii. Przywiózł z sobą całą serję akwarelli, przedstawiającą żebraków, włóczęgów i uliczników, w malowniczych łachmanach.

Z Madrytu udał się na południe: zwiedził Andaluzyą i Gibraltar. Ztamtąd popłynął do Tangeru. Stary ten gród arabski tak odrębny architekturą od miast europejskich, zbudowany na skale w dziwnie uroczym położeniu, uderzył silnie wyobraźnię artysty. Zachwycił się szczególnie w dniu targowe na ulicach miasta niesłychaném bogactwem typów wschodnich.

Powrócił nareszcie do Rzymu z końcem r. 1869. Razu jednego przebiegając kampanią, napotkał wzór do tej cudnej Salomé, którą Paryż podziwiał na wystawie 1870 roku.

Jeżeli *portret Prima* w roku poprzednim, poruszył pióra krytyków, wywołując najsprzeczniejsze zdania, *Salomé* stokroć za-

ciętszą wywołała walkę, w artystycznym świecie paryzkim. Chwalono ją z uniesieniem, gromiono z nienawiścią. Tłumy znawców i nie znawców, oblegały obraz. Każdy czuł instynktowo, że Salomé wychodzi z karbów zwyczajności, że jest albo płodem szaleństwa lub arcydziełem geniuszu. Kto widział tę czarodziejkę z twarzą tak dziko piękną, z pól otwartymi ustami z poza których wychodził rząd białych zębów, niby zębów szakala; kto widział te włosy najezone bezładnie od gwałtownego ruchu, podobne do lwiej grzywy, te dwa oczy jak dwa węgle połyskujące jakimś piekielnym żarem; kto widział ową Salomé udrapowaną w złote gazy, otoczoną całym przepychem wschodnim: nigdy jej nie zapomni.

Większość krytyków unosiła się nad obrazem; znawcy widzieli w nim arcydzieło. Mało kto przecież tak z krytyków jak i znawców, dopatrzył istotną myśl artysty. Salomé Regnault'a, owa straszna córka Herodyady, to żywy symbol jednej z najstraszniejszych plag toczących dzisiejsze nasze społeczeństwo. Ten obosieczny nóż który czarodziejka piastuje cynicznie na łonie, to zabójczy nóż co przecina tysiące świętych węzłów, co opustasza tysiące ognisk, burzy pokój domowych progów, to nóż co zabija rodzinę! co popycha naród w otchłań zguby! Tak jest, powtarzamy, Salomé Regnaulta, to najsurowsza krytyka jaką kiedykolwiek mistrz sztuki rzucił w oczy współczesnym.

Większość głosów powołanych do rozdawania nagród, przyśadziła artyście wielki medal honorowy. Kilkakrotnie powtarzano głosowanie. Salomé lubo uznana jako niezaprzeczone arcydzieło, nie miała warunków odpowiednich. Była to figura pojedyncza; obraz więcej rodzajowy niż historyczny; zresztą—jak mówili sędziowie—artysta jeszcze taki młody, jeśli dziś uczymy go najpięwszą nagrodą, i coś mu na przyszłość zostanie. I po długich sporach przyznano wielki medal twórcy *ostatniego dnia Koryntu*. Regnault otrzymał medal złoty.

Podczas gdy Paryż zachwycał się arcydziełem, młody mistrz przebywał w Tangerze dokąd udał się z Rzymu. Postanowił zostać przez lat kilka w Maroko. Słońce afrykańskie odpowiadało gorącej jego wyobraźni. Na dzień przed zamknięciem wystawy 1870 roku przysłał on z Tangeru wielki obraz: „*Wyrok bez sądu, pod królami Maurów w Grenadzie*”. Mało kto widział w Paryżu ten pyszny utwór, bogaty kolorytem, pełen niesłychanej siły: kupiono go do jednego z muzeów angielskich.

Regnault był jeszcze w Tangerze w początkach września 1870 roku. Tam doszły go wieści o klęsce Sedanu i ogłoszeniu rzeczypospolitej. Niestety Francji ugodziły go w serce. Lubo wyłączonej ze służby wojskowej jako laureat rzymski nie myśli korzystać z przywileju, siada na okręt, pospiesza co żywo do Francji; przybywa do Paryża na kilka dni przed oblężeniem, powitawszy ledwie ojca i narzeczoną, zaciąga się w szeregi gwardyi narodowej.

Ostatnie jego szkice noszą datę ostatnich dni roku. Są to portrety towarzyszków broni, skreślone dorywczo na wałach.

W dniu 19 stycznia, Henryk Regnault padł ugodzony kulą w łasku Buzenval, w ostatniej bitwie, w której Paryż usiłował przebić się przez szeregi nieprzyjaciół, i połączyć z armią posiłkową.

Przez cały dzień stał on z batalionem pod murami parku. Krew kipiała gorączkowo w jego żyłach, pragnął walki, a tu jak na złość nieprzyjaciół mijał tę stronę. O wpół do piątej zatracono do odwrotu. Batalion cofnął się; Regnault pozostał sam. Widzi to jeden z towarzyszków, poskoczy ku niemu co żywo, błaga aby wracał na wały.

— Nie mogę! — rzecze młodzian. — Idźcie wy, ja zostanę tu jeszcze!

I został!

Nazajutrz przed wieczorem, sługa ambulansowy, obchodząc pole bitwy, spostrzegł między drzewami leżącego żołnierza, z twarzą ku ziemi obróconą. Mniemał, że jeszcze żyje. Podniósł go. Trudno było rozpoznać tę twarz potarzaną we krwi, oblepioną suchymi liśćmi. Posługacz rozpiął brązową kapotę, przyłożył rękę do serca: to serce już nie biło. Pod kapotą znalazł napis przyszyty do podszewki: *Regnault malarz, syn Regnaulta z Instytutu*, poniżej adres.

Zmarły miał na szyi medalionik, na głowie ciepły kaptur. Zjął posługacz ten medalion i ten kaptur, trupa zaś pozostawił na miejscu zajęty głównie podejmowaniem rannych.

Między ciałami, które prusacy wydali francuzkim ambulansem nie było zwłok Regnaulta. Mimo zbyt jasných dowodów śmierci, mimo kartki oddanej przez posługacza, przyjaciele mieli jeszcze nadzieję. W kilka dni potem 25 stycznia, zgasł ostatni jej promień. Towarzysz artysty młody Clairin, malarz i gwardzysta narodowy jak on, znalazł ciało Regnaulta przywalone stosami trupów. Kula pruska strzaskała mu głowę poniżej oka.

Pogrzeb odbył się 28 stycznia, w tym samym dniu kiedy Paryż otrzymał urzędowe zawiadomienie o kapitulacyi. Artyści obecni w mieście, zaczawszy od starszych mistrzów Meissoniera i Chavanna do uczniów szkoły rzymskiej, zebrali się w kościele Śgo Augustyna. Obfite łzy wytrysły ze wszystkich oczu, w chwili kiedy przy spuszczeniu trumny do krypty kościelnej, dobosze uderzyli w bębny pokryte czarną krepą.

Muzyką dyrygował Saint Sains, połączony z Regnaultem od dziecka ścisłym węzłem przyjaźni. W chwili podniesienia organy zagrały rzewną melodyę, przyjaciele zmarłego poznali pieśń którą on śpiewał często z upodobaniem.

Przy trumnie klęczała panna Breton, młoda narzeczona artysty. Ojca nie było w Paryżu. Jako dyrektor fabryki porcelany w Sèvres, Wiktor Regnault pozostał do końca na stanowisku swoim. Kiedy prusacy zajęli Sèvres, wywieziono go do Wersalu.

Uwolniony wyjechał do Genewy. Tam doszła go smutna wiadomość.

Według uznania powszechnego, Francya traci w Henryku Regnault przyszłego twórcę nowej szkoły. Gorący idealista, usiłował on wyrwać sztukę z bagniska, w którym zagrzeźła w ostatnich czasach. Młodzieńcem zdusił on Centaura beczecznego realizmu; gdyby dożył lat męskiej dojrzałości, byłby według słów naszego wieszca, wydarł ofiary piekła, i do nieba sięgnął po laury!

Geniusz jego przemknął jak meteor nad Francją; sądzymy jednak, że nie przemknął bez śladu. Kilka arcydzieł jakie zostawił, będą dla następców drogowskazem do tych wyżyn, do których sztuka podąża stale wraz z ludzkością.

Znany i ulubiony poeta Manuel, uczcił wierszem pamięć zmarłego; przytaczamy wiersz ten w skróceniu:

„Chodź bracie! — smutnemi wołali nań słowy,
„Brzmiały hasła odwrotu, nam odejść czas!
„Nie przebić się głową przez mur ten spiżowy,
„Ich zastęp tak silny... garść ledwie nas!“

„Umilkła pobudka, nie wytrwać nam dłużej,
„Dość trupa zasłało stoki tych wzgórz;
„Mrok zapadł, nam stopy lgną w grząskiej kałuży,
„My krwawą dziś pracę spełnili już!“

On w sennéj zadumie pograżon snuć cały,
Nie słyszy, lecz z sobą liczy się sam:
„O bracia! wy chyżo wracajcie na wały,“
„Mnie siła tajemna pcha jeszcze tam!“

I zadrżał — i oto skra z duszy ogniska
Wybłyśnie na lica, rozptłoni wzrok;
Oburącz do piersi karabin przyeiska:
Od braci piorunem odbieży w bok.

I rozległ się nagle w powietrzu świst głuchy,
I echem bezlistny odpowie las!
W poranku po sobie obejrzą się duchy:
„Jednego poszepną, brak w pośród nas!“

Jednego wam brakło!.. chybaży wiek cały
Siekł ludzkość piekielny z ołowiu grad,
Nim krwiąby tak drogą pola skraśniały:
Nim ciosby śmiertelny w pierś taką padł!

Nieszczęsny żołnierzu! gdyś ręką szaloną
Wymierzył bezmyślnie karabin twój,
W to czoło zwieńczone promieni koroną,
W to serce, z kąd tryskał natchnienia zdroj:

Ach gdybyś wiedział co ręka twa czyni,
Na czole tém piętno wszak wyrył Bóg,
Ach! był on już mistrzem w sztuk sławnej świątyni,
Choć ledwie przekroczył tajemny próg.

Był naszą nadzieją, radością i chwałą,
Z niebiosów mu działem padł twórczy dar;
Pożarem wulkanu, gdy serce mu wrzało,
Czarodziej na sercu rozsiewał czar.

A żołnierz z za drzewa, zaczajon gdzieś skrycie,
Dał ognia, i pocisk w to serce padł,
I gwiazda zagasła na ciemnym błękiecie,
Co miała promieniem ogarnąć świat!

* *

Dzień twego pogrzebu jak wschodzi nam czarno!
Łzy z oczu tysięcy pociekły w bród;
Śpij lepiej w twój trumnie, pod ziemią cmentarną
Dzisiaj bram swych wrzeczadze roztwiera głód!

Ponuro nam bije dzwon twego pogrzebu,
Na czoło nam pada żałoby cień:
O! nigdy *Requiescat* nie biło ku niebu
Tak straszno, jak w łzawy ten sromu dzień.

Prowadzim twą trumnę żałośnie i łzawo,
I serce nam pęka; bo tenże grom,
Co krzepką pierś twoją roztrzaskał dziś krwawo,
Wstrząsł również w posadach, nasz sławny dom!

Artyści, zwłaszcza malarze, hojną zapłacili daninę krwi w ciągu nieszczęśliwych klęsk jakie sypały się na Francją. Głoszono śmierć młodego Wiberta, jednego ze zdolniejszych malarzy rodzajowych dzisiejszej szkoły, który za swego Guliwera otrzymał złoty medal na ostatniej wystawie. Wiadomość była mylną: Wibert wyszedł szczęśliwie z bitwy pod Malmaison, gdzie się bił jak

lew, równie jak dwaj jego koledzy: Tissot i Leroux. Ostatni z nich ciężką otrzymał ranę. W téjże wycieczce znany rzeźbiarz Cuvillier padł ugodzony w piersi kulą. Ci młodzi artyści należeli do kompanii Tyrallierów Sekwany.

Morel Tatio, znakomity malarz marynarki, konserwator muzeum Luwru jest niemniej ofiarą tych nieszczęśliwych czasów.

Przez cały ciąg oblężenia, okazywał on niesłychaną energią; ani chwili nie wątpił o ostatecznym tryumfie Francyi. Wielką już była jego boleść, kiedy się dowiedział o preliminarzach pokoju; bolał szczególnie nad tem, że wojska zwyciężkie mają odwiedzić pałac Luwru.

W dniu kiedy niemieckie wojska zbliżały się pod Paryż, Morel Tatio znikł nagle; przez cały dzień nikt go nie widział ani w domu ani w galerii. Niespokojny syn szukał go po wszystkich selach i zakątach; wieczorem nakoniec przypomniał sobie, że ojciec w ostatnich czasach, przechadzał się co dnia po tarasie na dachu, z kąd widać było, jak na dłoni, walki fortów z artylerją nieprzyjacielską.

Młody Morel porywa latarnię, z bijącym sercem przebiega setki wschodów. Ledwie że stanął na tarasie, potrąca nogą o jakiś przedmiot... to trup nieszczęśliwego ojca! Skonał przed kilku godzinami, według świadectwa lekarzy: pękła mu żyła w sercu na widok nieprzyjaciół wstępujących w bramy Paryża.

Morel Tatio znany był jako pierwszorzędnny malarz marynarki; wiele obrazów jego posiada galerja wersalska: dwa najpiękniejsze znajdują się w Rouen.

W Lyonie umarł w tych czasach dyrektor tamecznej szkoły sztuk pięknych, Teodor Aligny, w 74 roku życia. Obrał on rodzaj pejzażu historycznego, rodzaj stworzony niegdyś przez sławnego Poussin'a, w którym ten mistrz unieśmiertelnił imię swoje. Aligny wierny tradycyom klasycznym, brał przedmioty z mitologii greckiej, lecz umiał otoczyć je świeżym wdziękiem żywej przyrody. Był on jednym z malarzy przejścia. Do znakomitszych dzieł jego należą: *Rzeź Druidów* (1831), *Prometeusz* (1837), *Kampania Rzymu* (1839), *Pasterze Wirgillego* (1841), *Herkules i Hydra Lerneńska* (1842), *Bachus dzieckiem* (1848).

Z pomiędzy młodych malarzy, rokujących najpiękniejsze nadzieje, umarł także w tych czasach, ulubiony uczeń Meissonniera, *Zamalkois*. Obraz jego: *Wychowanie młodego księżątka*, nagrodzony złotym medalem, ściągnął powszechną uwagę na zeszłorocznój wystawie.

Do ostatnich ofiar z pomiędzy malarzy, policzymy nakoniec siedemdziesięcioletniego starca Goberta. W dniu 19 marca, gdy przechodził spokojnie przez plac ratuszowy, padł ugodzony bratnią kulą. Tenże sam Gobert w r. 1818, w krwawych walkach czerwcowych, jako gwardzista narodowy, walczył z powstańcami na bary-

kadach. Zasłaniał on własną piersią generała Brea: do ostatniej chwili był przy nim. Kiedy generał poległ, Gobert zaledwie ocalić się zdołał ucieczką. Dziwny zbieg sprawił, że w lat dwadzieścia dwa potem, znalazł śmierć od kuli powstańczej, która go wówczas ominęła.

Akademia francuzka straciła też niedawno jednego z członków swoich: mówimy tu o Prosperze Merimée, zmarłym w Cannes, w ostatnich dniach listopada. Śmierć ta przeszła niepostrzeżona, w pośród krwawych wypadków jakie wstrząsały Francją; tém bardziej niepostrzeżona, że Merimée od dawna już umarł dla literatury. Wprawdzie głos jego brzmiał jeszcze w chórze ogólnym, ale był to głos zagrobowy, mrozący trupięm technieniem wszystko czego się dotknął.

Nie smutniejszego nad widok człowieka który przeżył sam siebie, a cóż dopiero kiedy ten trup-człowiek był pisarzem, artystą i to z wielu względów niepospolitym. Wyobrażenia zagasła, wyschło w piersi żywe źródło natchnienia; serce umilkło, pozostał tylko rozum przeczący, szderezy, zimny, rozsiewający śmierć i zgniliznę. Takim był Prosper Merimée i w krześle senatorskiem, — kiedy zasiadał za cesarstwa, i w akademickim fotelu, w gronie czterdziestu nieśmiertelnych: takim szczególnie pokazuje się w literackich pracach wykonanych od lat czterdziestu.

W początkach zawodu swego, Merimée należał do tego zastępu nowatorów, którzy pod sztandarem Wiktora Hugo, pchnęli na nowe drogi francuską literaturę. Wystąpił on w roku 1825, ze swym teatrem pod pseudonimem Klary Gazul aktorki hiszpańskiej. Małe dramaciki z tego zbioru: *Hiszpanie w Danii*, *Juez*, *Miłość afrykańska*, skreślone śmiałą ręką, przyprawione solą i pieprzem, podobały się wówczas chciwym nowości czytelnikom: dziś poszły w zapomnienie.

Wkrótce potem, również pod osłoną pseudonimu wydał Merimée swoją *Guzlę*, podrobiony zbiór ludowych pieśni Illyryjskich, jakoby zebrany z ust morlackiego Rapsodysty, w górach Dalmacyi. Myśl do tego nasunął mu zapewne, niedawno odkryty przez Hankę i tłumaczony na wszystkie języki, sławny rękopism króloworski: podrobienie tak było zręczne, że zwiodło niezonych filologów niemieckich. Jeden z nich Bowing, autor antologii słowiańskiej, napisał do autora z prośbą o przysłanie mu w oryginale tych wierszy morlackich, które tak wybornie przetłumaczył. Inny znów Dr. Gerhart ofiarował mu dwa wielkie tomy pieśni słowiańskich, przetłózonych przez siebie na język niemiecki, do których włączoną była i owa Guzla przetłumaczona wierszem. „Łatwo mu to przyszło, jak mówi, gdyż pod prozą Merimée'go odkrył metr pieśni Illyryjskich.“ Od czasu Macphersona, nigdy fałszerstwo literackie nie powiodło się do tego stopnia i nie wprowadziło w błąd tylu filologów.

Wziął się potem Merimée do powieści historycznej, wprowadzonej w modę przez Walterskotta. Napisał kronikę z czasów Karola IX, mieszaninę prawdy z fikcją: rodzaj ten nie odpowiadał mu wcale. W młodości nawet, nie miał dość zapału, aby mógł techną życie w to, co zamarło w świecie rzeczywistym; wyobrażenia jego nie miała dosyć potężnych skrzydeł, aby zdołał jak Dumas w Muszkietierach rozwinąć lot po szerokich obszarach przeszłości.

W rodzajowych obrazkach, nowellach, najsamodzielniej wydatnił się jego talent. Zimny anatom, z szyderczym uśmiechem na ustach, zapuszcza skalpel w żywe serca, godzi w nie śmiałą i zręczną ręką. Codzienne dramata, napotykanne w życiu, nie starczą mu do tych anatomicznych studyów, szuka silnych wrażeń pod gorętszym niebem, w społeczeństwach pierwotnych nieskrępowanych łańcuchami cywilizacji. Do obrazków swoich wprowadza charakterystyczne postacie bandytów, negrów, czarownic; każdy dramat zakończyła śmiercią, najczęściej nożem morderczym.

Zwiedza Korsykę, wsłuchuje się pilnie w krwawe podania (*maguis*) przechowane pod strzechą góralską. Pod wpływem tych opowieści kresli kilka ekscentrycznych obrazków. Potworne rysy oddaje ręką mistrza. Do niczego lepiej nie da się zastosować go-dło nowej szkoły: *brzydota pięknem*, jak do tych utworów Merimée'go, w których okazał niezaprzeczony talent. W jednym z tych korsykańskich dramacików: *Matteo Falcone*, syn zdradza ojca, i pada ofiarą jego nieprzebręganą zemsty. Drugi obrazek *Colomba*, uznany był powszechnie za arcydzieło, pod względem ścisłości i prawdy w odtworzeniu najdrobniejszych rysów serca, jak niemniej w oddaniu kolorytu miejscowego. Krytyka podniosła tę dziką góralkę, do znaczenia greckiej Elektry. Kolumba to idealny typ nienawiści. Ta korsykańska Eumenida, postanawia rozdmuchać w sercu brata płomień zemsty dziedzicznej (wendettę), przygasły cokolwiek wskutek długiego pobytu na stałym lądzie, pod wpływem nowych pojęć. W tym celu jakby kotka igrająca z kłębkim, osnuwa zręcznie brata w sidła swoje; sto razy odrzucona, powraca znów z uśmiechem na ustach: w końcu dopięła celu, rozbudziła uśpionego szatana zemsty.

W innym obrazku, z równą siłą nakreślonym, Carmen cyganka czaruje młodego górala, zamienia go w bandytę. Miłość gaśnie w sercu dziewczyny: mówi wręcz góralowi że przestała go kochać, że innemu oddała serce. Wié, że stanie się ofiarą jego zemsty, a przecież idzie z nim do lasu, *bo tak napisano*, bo jako znachorka wyczytała w przyszłości że padnie ugodzona jego nożem: że przez nią kat zarzuci mu powrót na szyję. Czując nóż na gardle, urąga jeszcze zbójcy; przeklina jego miłość: woła aby prędkiej z nią skończył. „Dwukroć ją uderzyłem, mówi góral, padła za drugim ciosem, padła cicho, bez krzyku. Widzę jeszcze wielkie jej czarne oko bystro we mnie utkwione, potem zaszło mgłą, i zamknęło się z wolna.“

W obrazkach zdejmowanych z dzisiejszego stanu społecznego, Merimée niemniej biegłym okazał się mistrzem. Każdy rzut pióra ma u niego znaczenie, każde słowo godzi jak sztylet w wyobraźnię czytelnika. Niepodobna być ściślej. *Zdobyta reduta* skreślona po mistrzowsku. W kilku rzutach wykrywa tu autor, ujemną stronę wojskowej chwały. *W podwójnej pomyłce: (Double meprise)*, z nieprzebręganą ironią, przedstawia grę namiętności, odzwierciedlając charaktery. Najmniejsze drgnięcie serca nie skryje się przed baczny jego wzrokiem. Wytworne to obrazki, wykończone z miniaturą dokładnością. Patrzymy na nie zdziwieni, ale mroźny chłód powiewa od nich na nas; czujemy że autor nie ukochał tych ideałów, które wyrzeźbił tak misternie: przeciwnie nawet, nie kryje on szyderczego sarkazmu, ukazując rany toczące serca owych ofiar.

Rozszerzyliśmy się nad temi obrazkami, one bowiem otworzyły podwoje akademii przed ich twórcą: to samo świadczy o ich wysokiej lubo względnej wartości.

Rychło wyczerpał się ten talent. Merimée nie złożył pióra, ale utwory jego z ostatnich lat dwódziestu nie wytrzymają porównania z dawniejszemi. Aby nas nie posądzono o niechęć, zasłanimy się tu powagą wytrawnego pisarza *Paul de St. Victor*, po Juliuszu Janin, jednego z pierwszych estetyków paryzkich. Słowa jego zasługują zresztą na powtórzenie.

„Wyobrażenia Merimée’go skostniała wskutek dyety- mówi bardzo trafnie St. Victor. Trzeźwość piękną jest zaletą w literaturze, ale nie należy jej nadużywać, doprowadza bowiem do suchot. Merimée nienawidził wielkich frazesów, w czém zapewne miał słusność; ale broniąc się od nich, doszedł wreszcie do tego, że pod kategorię pustych słów, podciągnął i wymowę, i zapal, i rzewność, i koloryt: słowem, wszystko co stanowi stronę żywotną stylu. W końcu przedstawiał tylko nagie fakta, оголоcone z wszelkich ozdób. Jego *Katylina* i *Don Pedro*, są to istne kościotrupy wystawione w anatomicznym gabinecie.“

Z późniejszych prac Merimée’go, wspomnimy tu jeszcze dramat p. t. *Falszwy Dymitr*, pozbawiony wszelkiej barwy miejscowej. Kilka lat temu wydał dziełko *o kozakach ukraińskich*: jest to poprostu sucha kompilacya z dzieła profesora Kostomarowa. Merimée zebrał same fakta, zostawiając na boku całą żywotną stronę jaka nderza w dziele znakomitego historyka Ukrainy; postać Bogdana Chmielnickiego, jak ją przedstawił francuzki akademik, należy do tych szkieleatów literackich, godnych kostnicy lub anatomicznego muzeum.

Większe nierównie wrażenie sprawiła na Paryżanach śmierć powieściopisarza Pouson du Terail, który od lat dwódziestu, zapalał odcinki najpopularniejszych dzienników. Talent Pouson’a i Merimée’go, to dwa wprost przeciwne bieguny: o ile ostatni od-

pychał od siebie grobowym chłodem, o tyle znów pierwszy porywał niesłychaną werwą. Nie myślimy wcale apoteozować prac Pouson du Terrail: jego Rokambole znikną bez śladu, istne fata morgana. Wiele on zapewne przyczynił się do rozpowszechnienia złego smaku, w powieściopisarstwie dzisiejszém, zbyt czynnem upędzaniem się za efektami, jak niemniej wyprowadzaniem na scenę krwawych zbrodni i okropności, a jednak szczerze podzielamy żal Paryżan. Z tej gorącej piersi mógł jeszcze wybuchnąć częsty płomień; do niego to śmiało zastosować można słowa: wiele kochał, wiele mu też przebaczoném będzie.

Ostatnia powieść Pouson du Terrail, drukowana zeszłego lata w odcinku małego Monitora, nosi tytuł: *Francuzi w Berlinie!*

Umarł w Bordeaux dotknięty ospą: szczęśliwy przynajmniej, że nie doczekał końca tej wojny, której wróżył w początkach najświetniejsze powodzenie.

W pierwszych dniach kwietnia otworzono w *Künstler-Haus* wiedeńskim, wielką wystawę obrazów. Nazwa międzynarodowej jaką jej dano, obudziła silną protestację ze strony Niemców berlińskich: widzieli w tem istny zamach przeciw jednoci Niemiec. „Godziż się zwać wystawę międzynarodową, wołały hurmem gazety, kiedy oprócz piętnastu włoskich i pięciu francuzkich obrazów, wszystkie inne w liczbie z górą sześciuset, nie wyłączając polskich i węgierskich, wykonane w Berlinie, Wiedniu, Monachium, Hamburgu, Düsseldorfie, Zurychu i t. d. Wystawa jest czysto niemiecką!”

Wejdzmy więc do tego przybytku sztuki niemieckiej. Co nas tu przedewszystkiem uderza, to zupełny brak przedmiotów religijnych. W owym Paryżu tak okrzyczanym przez Niemców o bezbożność, naliczyliśmy w roku zeszłym, przeszło pięćdziesiąt religijnych utworów. Były między niemi przesłiczne szkice Bina, wzory fresków do sklepień kościelnych, były piękne obrazy Chawanna, Magdalena i Sty Jan Chrzciciel, nacechowane duchem wysoko chrześcijańskim; tu nie znaleźliśmy nic podobnego: wszędzie tylko apoteoza natury i człowieka. Dziwném się to wydaje zwłaszcza obok tych manifestacyj religijnych, głoszonych po buletynach w ciągu ostatniej wojny!

Jakież ztąd wnioski. Nie oskarżamy o bezbożność społeczeństwa niemieckiego, widzimy tylko że i w sztukach pięknych równie jak w filozofii, Niemcy znają głównie Boga w abstrakcyjnej nieskończoności; zdaje się jakby uważali popospolitanie w sztuce Istoty najwyższej, za wyrządzoną Jęj zniewagę. Tak rzecz rozumieł Izraelic; ale oni nie śmieli wymawiać nawet imienia Jehowy, Niemcy zaś przeciwnie, jakże nadużywali imienia Bożego w ostatnich czasach!

Jeżeli nas dziwi brak obrazów religijnych w przybytku sztuki *czysto-niemieckiej*, niemniej nas uderza brak obrazów history-

cznych, u narodu, który opierając się na historycznych prawach, wskrzesza średniowieczne cesarstwo. Małoż tu przedmiotów nasuwa się pod pędzel i pod dłuto! a przecież z tego długiego szeregu cesarzy niemieckich, widzimy tu jednego tylko Karola V, i to w chwili gdy zadumany w celi klasztornej, powtarzać się zdaje ku nauce potomnym: *Vanitas vanitatis!*

Obraz ten Pilatego z Monachium, nie jest zapewne bez zalet, ale w rysach i postawie monarchy, który poznał całą zaikomość rzeczy ziemskich, który zrzucił purpurę a przyoblekł wór pokutniczy, aby sam na sam obliczyć się z Bogiem; w rysach i postawie takiego monarchy, chcielibyśmy widzieć więcej powagi, więcej duchowego namaszczenia.

Inne obrazy historyczne na wystawie są utworu pędzla polskiego.

Uderza nas wśród nich, obraz Brandta, przysłany z Monachium: przeprawa jazdy polskiej do Jutlandyi, w roku 1568; przedmiot wzięty z Pamiętników Paska. Stefan Czarnecki na bułanym koniu, otoczony starszyzną, przygląda się szeregom jak brną wpław przez morską zatokę; opodal widać bijących się Szwedów z Rakuszanami; ogień działowy błyska przez kłęby dymu. Całość pełna ruchu, siły i życia. Wieher napędza chmury i podrzuca w górę spiętrzone fale; brzeg przyprószony śniegiem, zlewa się w ponurą harmonię, z szarą barwą nieba i wody.

Piękny ten obraz pozostanie w Wiedniu: kupiła go Akademia sztuk pięknych.

Inny utwór historyczny ziomka naszego, Leoplda Löflera, zwraca też na siebie powszechną uwagę. Rzecz dzieje się w zamku Rudolstadt. Książę Alba siedzi przy stole z księciem Brunświckim i dwoma jego synami; jedzą śniadanie, gdy wbiega do sali pani zamku, Katarzyna z Schwartzburga, wiodąc za sobą orszak uzbrojonych dworzan. W ręku trzyma papier: to list żelazny, zapewniający jej bezpieczeństwo. Żąda aby książę Alba rozkazał Hiszpanom oddać zrabowane klejnoty; inaczej uwięzi go w zamku własnym na mocy glejtu cesarskiego. Pazik podaje księciu pióro i atrament. Alba musi ustąpić, odcięty bowiem od wojsk, widzi się w mocy energicznej kobiety. Dramat oddany wybornie, gra uczuć odbija na obliczach. Rysy księżnej skurczone gniewem, zar połyska z jej oczu; Alba zakłopotany; książęta Brunświccy zdumieni: słudzy czekają skinienia pani swojej. Żywy koloryt odpowiada bogactwu kompozycji.

P. Bronisław Abramowicz, uczeń Akademii Wiedeńskiej, wziął także za przedmiot do obrazu, tegoż samego księcia Albę; przedstawił go w chwili gdy kat uprowadza na śmierć skazanego przezeń Egmonta. Biskup z Upert błaga o łaskę: daremno! Alba nie przebaczy, znać to po groźnym obliczu, oddanem z niepospolitą siłą.

Mówiąc o panu Abramowiczu, wspomnimy tu inny obraz, który widzieliśmy w jego pracowni, przygotowany na tegoroczną

wystawę lwowską. Myśl wzięta z historycznych wspomnień hr. Alexandra Przezdzieckiego. Król Zygmunt Stary, w podeszłym wieku, przygląda się skokom wiewiórki. Piękny to obraz, oddany z wielkiem natchnieniem. Ileż to uczuć, ile myśli uwypakował artysta na tém poważnem obliczu króla-starca, który wśród trudów ciężkiego zawodu, umiał zachować tyle niewinnej prostoty, że go bawi pływająca wiewiórka.

Z historycznych utworów polskich widzimy tu jeszcze obraz p. Floryana Cynka, z Krakowa: spotkanie się królowej Jadwigi z Wilhelmem Rakuzkim, w refektarzu OO. Franciszkanów. Młoda królowa wylicza przeszkody, wzbraniające jej połączyć się z narzeczoną; wskazuje ręką na krzyż Zbawiciela. Obraz wielkich rozmiarów.

Cała więc historyczna część wystawy, odnosi się do prac ziemskich. Artyści niemieccy zostawili na boku stronę diejową równie jak religijną. Kilku z nich podjęło przedmioty z mythologii greckiej, ale jakże im brak tego delikatnego poczucia piękna, z jakim Ateńczycy podnosili ziemskość do ideału. *Sąd Parysa* Fauerbacha, Berlińczyka ze szkoły rzymskiej, największy obraz na wystawie, oceniony 14,000 tal., budzi wstręt i obrzydzenie, równie jak śpiąca *Kallisto*, innego Berlińczyka Schausa.

Cały tryumf dzisiejszej sztuki niemieckiej w pejzażach i obrazach rodzajowych.

Z pomiędzy pierwszych zwróciły szczególnie uwagę naszą wielkie krajobrazy Hansa Gude z Carlsruhe, przedstawiające *brzegi jezior w górnej Austrii*. Pełno w nich powietrza, woda przezroczysta, promienie światła rozproszone harmonijnie; prawdziwie też uroczy krajobraz Bejscha z Monachium, wyobrażający wewnątrz lasu jesienią: przez drzewa огоłocone z liści, przedziera się blady promień listopadowego słońca; grupa wieśniaków zgarnia suche liście na furę. Do najpiękniejszych zaliczamy pejzaż zmarłego niedawno Saala z Badenu, przedstawiający polankę w lesie Fontainebleau, oświeconą księżycem w pełni; oceniony 15,000 franków.

Marynarki w ogólności bardzo dobre. Uderzyła nas szczególnie znakomita burza morską Achenbacha z Düsseldorfu: chmury pokryły niebo, białe mewy krążą niespokojne nad wodą; w przystani czekają biedne żony rybaków: patrzą rozpaczliwie na łódkę szamoczącą się z wiehrem i falami.

Silne wrażenie sprawia też obraz Gudina, malarza francuzkiego, wykonany mistrzowskim pędzlem. Wyobraża on chaos przy stworzeniu świata. Grube chmury zawieszono po nad otchłanią wód, tworzą z niemi nierozdzielną jeszcze całość; w pośrodku tylko na słowo *Fiat lux*, rozdziera się czarny obłok, i słońce w pełnym połysku majestacie.

Malarze niemieccy wysoko posunęli sztukę w oddaniu charakteru i akcyi zwierząt. Widzimy tu idylle i dramata, w któ-

rych czworonożnym i skrzydlatym główne przypadły role. Do idylli należy piękny krajobraz Rudolfa Kollara z Zurychu. Na łące zarosłej żyzną trawą pasą się dwie pyszne szwajcarskie krowy; jedna stoi do połowy zanurzona w strumieniu: przez gałęzie drzew wpada czerwony promień zachodzącego słońca.

Stronę dramatyczną oddał wybornie Thorén z Wiednia, przedstawiając trzode spleśzonych owiec. Starszy pastuch ukazuje młodszemu wilka, jak bieży chyłkiem wśród zarośli. Czujny pies wypada naprzód, gotów jak widać do zapasu; biedne owce tulą się do siebie: przerażenie odbija się w ich postaci.

Doskonały też w tym rodzaju obrazek Maffeja z Monachium. Lis wpadł rankiem na stado kuropatw: już rozwarł paszczę, zabłysnęły mu ślępie; lecz gody nie dla niego: ptaki podlatują w górę z pośród trawy.

Z polskich malarzy dwaj młodzi uczniowie szkoły sztuk pięknych w Monachium: pp. Kubecki i Gieryski wystąpili świetnie z pejzazami. Pierwszy z nich uczeń sławnego Liera, przysłał śliczny krajobraz, przedstawiający łąkę pod lasem; na łące pasą się krowy: góry owiane mgłą oddalenia, harmonijnie kończą widnokrąg.

Obraz Gieryskiego w innym rodzaju przedstawia wyjazd z zamku na łowy: strzelcy w kurtkach aksamitnych żółtych, krojem zeszłego wieku, w stosowanych czarnych kapelusikach, zebrali się konno w lasku brzozowym; przez gałęzie drzew widać otwarty powóz, pełen strojnych kobiet: niebo blade pobjęga chmurami, drzewa częścią ogolone z liści zdają się poruszać od jesiennego wiatru.

W obrazkach rodzajowych spostrzegamy tu wielkie bogactwo i nadzwyczajną rozmaitość; znakomity obraz Deffreyera z Monachium, stanowi istotną ozdobę wystawy. Krytyka ogłosiła go jako prawdziwe arcydzieło: Deffreyer celuje szczególnie w rodzaj dramatycznym. Już od kilku lat, podziwiano sceny z Szekspirowskich utworów, oddane mistrzowskim jego pędzlem. Na ten raz artysta wzięła przedmiot scenę dramatyczną z życia Tyrolczyków, walkę na pięście, rodzaj turnieju ludowego. Dwaj zapaśnicy stanęli w szrankach, otoczeni licznym kołem widzów. Obaj pochyleni naprzód, z rękoma zaciśniętymi w kułak, z błyszczącym okiem, zda się wstrzymali oddech w piersiach, świadczą żyty wzdęte na czołe: tylko patrzeć jak na siebie uderzą. Widzowie stoją podzieleni na grupy. Tu siwy jak gołąb starzec, wsparty oburącz na kij, przygląda się z smętnym uśmiechem: snąc przypomina dawne czasy, które już nie powrócą. W postaci niewiast ciekawość pomieszana z uczuciem trwogi. Dwie dziewczyny wiejskie stoją opodal siebie, w gwałtownym poruszeniu: to narzeczone zapaśników. Dzieci patrzą z bezmyślną obojętnością. Wśród tłumu znalazł się i cudzy człowiek z wędrownym tłumoczkim na plecach.

Oczy wszystkich skierowane do jednego przedmiotu; każda postać właściwy ma charakter, każda z nich odrębna, typowa.

Za drugie arcydzieło wystawy, uznano powszechnie dwie akwarelle Passiniego, Wiedeńczyka. Jedna przedstawia kanoników modlących się w chórze, druga penitentów zebranych przed konfesjonalem. Artysta nie szukał tu wcale efektu dramatycznego, a przecież na każdym obliczu odbija dramat wewnętrzny spełniający się w głębi ducha. Uderza nas szczególnie postać spowiednika, pełna religijnego namaszczenia i Bożego spokoju. W grupie penitentów niesłychana różnorodność; jakież tu odcienia w ich boleści milczącej a tak wymownej. Każdy gotów zrzucić swój ciężar u stóp konfesjonału: niewinne dziewczę przynosi tu pierwszy niepokój serca, skruszony rozbójnik przychodzi odrodzić grzeszną duszę, w zdroju łez i szczerzej pokuty. Prześliczne to obrazki, tak pod względem ugrupowania, kolorytu, jak i doskonałego wykończenia najdrobniejszych szczegółów.

Rodzajowe utwory naszych malarzy zasługują również na uwagę, wiele w nich prawdy, wiele życia, a to życie oddane zawsze ze strony idealnej. Rzućmy najprzód okiem na jarmark w okolicy Krakowa, pendzla Brandta. Obrazek ten znany nam już z zeszłorocznej wystawy paryzkiej, ale tu lepiej jakoś pomieszczone, korzystniej się wydaje. Jakże wyraźne te postacie naszych Szkalmierzaków, w brunatnych kierzynach i czapeczkach czerwonych! Tu chłopiek rad z kupioną klaczką ze źrebkiem, pośpiesza wewłać do domu; tam za straganem mały sześciolatek żydek w jarmulce, zastępuje z powagą ojca: jeszcze nie odrósł od ziemi, a już mądry; nie da się wywieść w pole; tu znów kumoszki, w krasnych chustkach na głowie, strojne od święta, snują się wkoło garnków i rynek rozstawionych stosami; dalej garstka owiec oczekuje na kupca. Jakiż tu ruch jarmarczny, jaka prawdziwie swojska fantazyja!

Inny znów obrazek p. Roberta Szustra, ucznia Akademii Wiedeńskiej, wybornie przedstawia scenę z domowego życia ojców naszych. Dwie młode panie przyjeżdżają w odwiedziny do sąsiadzkiego domu; rozmowa toczy się swobodnie. Gospodarz wita wchodzącego w progi sąsiada. Na boku spi w kolebce małeńkie dzieciątko; starszy chłopczyk skrada się na paluszkach i przygląda śpiącemu. Stara piastunka w wysokim kornecie grozi mu palcem, znać przestrzega aby nie obudził braciszka. Koloryt żywy, cały obraz tchnie ciepłem domowym.

Smutniejszą scenę odtwarza obrazek p. Kotsica Krakowianina. W ubogiej chacie, przy wygasłym ognisku, siedzi na tronie od komina biedny góral z głową smutno pochyloną. Blade trzyletnie dziecko, owinięte w brudny łachman, drżąc od zimna tuli się do piersi ojcowskiej. O kilka kroków stoi matka, młoda jeszcze lecz styrana pracą, troską i głodem. Po drugiej stronie izby, żyd ogląda pilnie czarną kozę, ostatni dobytek nieszczęśliwej ro-

dziny; pociąga ręką po wychudłym jej grzbiecie, pokazuje kości ledwie opięte skórą. Strona dramatyczna wybornie pochwyciona.

Aby lżej odetchnąć po tej okropnej scenie, dość rzucić okiem na komiczny obrazek Löfflera, przedstawiający małego swawolnika, *l'enfant terrible* jak mowi napis. Przyjaciół domu podeszły, z głową szpakowatą, przyjeżdża w odwiedziny do sąsiadki. Ledwie że zasiadł w krześle, swawolny chłopiec skacze mu na kolano, galopuje na nim jak na koniu, garściami zaś pochwycił za wąsy jak za cugle. Matka napomina synka, lecz pełen miłości uśmiech igra mimowoli na jej ustach. Gość też nasrozył minę, udaje zagniewanego; widać jednak że wstrzymuje się całą siłą, aby nie parsknąć śmiechem; poznał to chłopiec i tym zuchwalej dokazuje.

Sztuka polska chlubnie tu przedstawiona w każdym dziele. Zasługują tu na wzmiankę trzy architektoniczne obrazy pana Gryglewskiego z Krakowa, wykonane podczas pobytu jego w Wiedniu: jeden wyobraża część zewnętrzną katedry Stefaniskiej, drugi ambonę, trzeci wnętrze kaplicy.

W dziale rysunków, sześć obrazów nieodżałowanego Grodgera, nie mają równych sobie na całej wystawie.

Mówiąc o artystach polskich, zapiszemy tu jeszcze nazwiska dwóch młodych uczniów Akademii Wiedeńskiej: pp. Streita i Kozakiewicza. Dzięki uprzejmości artystów, widzieliśmy w pracowni rozpoczęte ich obrazy, których nie zdążyli wykonać na wystawę. P. Streit obrał za przedmiot *pożegnanie*. Młody człowiek odziany po podróżnemu, puszcza się w daleką drogę; młodziuchna żona, żegna go z wyrazem rozpacz; stara matka z pełną boleści rezygnacją.

P. Kozakiewicz podjął odmienną scenę: powrót branki z niewoli tatarskiej do rodzinnego domu. Z pierwszych zaledwie rzutów pędzla, mamy prawo spodziewać się wiele po dwóch utworach młodych artystów naszych.

Oprócz tej wystawy międzynarodowej, a raczej niemieckiej, jest tu jeszcze inna, zwyczajna w gmachu Towarzystwa sztuk pięknych na Tuchlauben. Ta w ciągu maja poświęcona wyłącznie pracom sławnego malarza Schwindta, urodzonego w Wiedniu 1804, zmarłego 8 lutego r. b. w Monachium, gdzie był profesorem w Akademii Sztuk pięknych. Tak publiczne galerie, jak niemniej prywatne osoby, które posiadały prace Schwindta, przysłały je tu na wystawę, z której dochód przeznaczony na pomnik grobowy. Patrząc na te sześć czy siedm sal zawieszonych obrazami olejnymi, akwarellami, szkicami i rysunkami, podziwiamy twórczą siłę mistrza objawiającą się tak różnorodnie, w tylu od-
różnionych od siebie pomysłach.

Niemcy słusznie chlubią się Schwindtem, mieniając go za paśnikiem czysto niemieckiej myśli na polu malarstwa, tak samo jak nim jest Ryszard Wagner na polu muzyki. Schwindt wystąpił na widownię w pierwszej połowie XIX wieku, w czasach, kiedy szkoła klasyczna przekwitała pod wpływem nowych pojęć. Powrót do natury i prawdy stał się hasłem; ale jak to zazwyczaj bywa, pierwsi nowatorowie, rozkuwszy greckie pęta, rzucili się w przeciwną ostateczność i utonęli w grubym realizmie. Wielka zasługa Schwindta polega właśnie na tem, że z równą siłą walczył przeciw dwóm krańcowym prądom, że unikając konwencyonalizmu tak zabójczego w sztuce, umiał niemniej uchronić się trywialności.

Pomimo zaciętych walk i odosobnienia między współczesnymi, życie Schwindta szczęśliwie upłynęło. Szkoły powstały przeciw niemu, ale publiczność trzymała z nim, a uznanie ziomków wzmagalo w nim twórcze siły.

Pierwszą młodość spędził w górach czeskich, co budziło w nim skłonność do życia wewnętrznego. Talent jego rozwijał się pod wpływem romantyzmu, kwitującego już bujnie w poezyi. Z pomiędzy poetów najsilniej pociągał go Tieck, pokrewny mu geniuszem, równie jak on zamiłowany w ludowych tradycjach.

Odbył najprzód akademickie nauki w Wiedniu, poczem udał się do Monachium w r. 1828, a w cztery lata potem do Rzymu, gdzie pracował z Korneliusem. Za powrotem do Niemiec, wykonał kilka znakomitszych fresków, którym zawdzięcza pierwszą sławę. Zwróciły szczególnie uwagę freski w Monachium, w sali Rudolfa Habsburskiego; *Amor i Psyche* w Böttingdorf pod Wejmarem; *Walka śpiewaków Wartburskich* w Frankfurcie, że pominiemy wiele innych. Ale klasyczne pojęcia silnie zakorzenione w Niemczech, nie daly wówczas jeszcze ocenić talentu młodego mistrza. Król wirtemberski nie przyjął zamówionego przez siebie obrazu, w którym Schwindt przedstawił wyjazd rycerza Kurt na wesele, według ballady Goethego; obraz nie podobał się z powodu, że *zbyt silnie uwydatniał żywioł niemiecki!*

Powołany na profesora Akademii w Monachium w r. 1847, Schwindt wykonał tu sławną *symfonię Beethowena*. Odtworzył pedzlem myśl wielkiego mistrza, przedstawiając historią dwóch młodych serc: w *andante* poznanie na koncercie, w *adagio* przechadzka po lasku, poważną, pod okiem matki; w *allegro* wyznanie miłości na balu, w *scherzo* weselne gody.

Nie długo potem wykonał wielki obraz historyczny Rudolfa z Habsburga. Jest to jakoby pochód pogrzebowy za życia; zgrzybiały Rudolf skończył już ziemski zawód: czuje, że ostatnia iskierka wolna dogasa w jego piersi. Porzuca też zamek Gerensheim i konno w orszaku dworzan pośpiesza do Spiru, gdzie pragnie spokojnie złożyć głowę. Postać starca wyraża głębokie skupienie w duchu: złożył pobożnie obie ręce. powtarza modlitwę za kapłanem jadącym konno obok niego. Stary geremek prowadzi ce-

sarskiego rumaka, z pochyloną ku ziemi głową. Za Rudolfem postępuje orszak panów dworskich, widać między nimi i zapłakane niewiasty. Lud garnie się tłumnie, kmiecie porzucają plug na zagonie; matki ukazują dzieciom ukochanego pana. Łzy i błogosławieństwa towarzyszą mu do ostatniej przystaui.

Jezeli pod względem kolorytu można wiele zarzucić artyście, za to w rysunku prawdziwym jest mistrzem, w pomysłach zaś, wielkim poetą. Podania ludowe *Marchens*, znalazły w nim nieporównanego tłumacza. Bajka o siedmiu krótkach, oddana w siedmiu obrazach akwarellą, zachwyciła znawców na wystawie w Monachium w 1858 roku.

Znakomitsza jeszcze bajka o Meluzynie w jedenastu akwarellach, jest bezwątpienia koroną prac artysty. Przez lat trzydzieści Schwindt rozmyślał nad tym poetycznym przedmiotem, szukając dlań właściwej formy. Kilkakrotnie zaczął pracę i przerywał ją znowu, nie czując się dostatecznie przygotowanym. W ostatnich dopiero czasach, mając lat sześćdziesiąt sześć, wykonał arcydzieło. Cykl o Meluzynie tryskający najczystszą poezią, pociąga ku sobie oczy wszystkich.

Na pierwszym obrazie widzimy jasnowiącą wodnicę, zwieńczoną liśmi, cicho spoczywającą w kryształowych wodach strumienia. Oblicze jej tchnie dziewczęcą niewinnością, zadumana, marzy o świecie nieznanym dla niej; czyli go pozna kiedy?

Drugi obrazek rozwiązuje pytanie. Do tej leśnej ustroni przybył zabłąkany rycerz Lusignan; nadszedł właśnie, kiedy wodnice opuściły rankiem wody strumienia, i pływają po miękkich wrzosach, odświeżonych kroplami rosy. Młody rycerz przystępuje do Meluzyny: ona go nie odtrąca. Zamieniają pierścionki. Towarzyszki patrzą na to z trwogą, przeczuwając nieszczęście.

Meluzyna przecież ukoila ich bojaźń. Dosiadają koni, śpieszą z nią na gody weselne: to przedmiot trzeciego obrazu. Dziwnie tu pomieszanie tradycyji pogańskich z chrześcijańskimi: artysta szedł trop za fantazyą ludową. Widzimy kaplicę w gestwi leśnej; w głębi krzyż, przed ołtarzem klęka siwy kapłan. Meluzyna na białym koniu, przysłonięta w długą szatę koloru wody, zatrzymuje się przed kaplicą, gdzie czeka na nią Lusignan w orszaku krewnych, dworzan i wieśniaczego ludu.

Czwarty obraz piękniejszy jeszcze. Nazajutrz po ślubie w brzasku porannym zorzy, staje na krużganku Meluzyna obok Lusignana. Ukazuje mężowi zameczek zbudowany w ciągu nocy nadprzyrodzoną siłą. Biada—mówi—gdyby stopa śmiertelnika, przekroczyła te progi. Lusignan z ręką do góry podniesioną przysięga zonie ufność. Oblicza ich dziwnie piękne, rozpromienione szczęściem, oświecone różową zorzą.

Dalej widzimy wewnątrz tajemniczego zamku. Wielka sala oparta na kolumnach ozdobionych wieńcami z róż; krynica czy sta jak zwierciadło zastępuje miejsce posadzki. Meluzyna stoi

w pośrodku, zanurzona do połowy w wodzie. Wkoło niej płasają wodnice, przygrywając na złotych harfach; inne podają jej kwiaty. W tej odradzającej krynicy czarodziejka czerpie wieczną piękność i młodość!

Dotąd chwile jej splatają się niby uroczy wianek, ale oto wąż wśliznął się w pośród kwiatów. Nowy obraz przedstawia zewnętrzną stronę zakłętogo zamczku; na ścianie wyrzeźbiona *syrena*. Troje sług z ohydnyim wyrazem twarzy szepeczą coś między sobą, ukazując ów symbol. Złe języki rzucają na wiatr zgubny posiew, z którego ma się zrodzić niedola!

Siódmy obraz ukazuje małżonków w pełni szczęścia domowego, otoczonych gromadką dziatwy. Meluzyna siedzi obok Lusigniana, z niemowlęciem na ręku. Dwóletni chłopczyk śliczny jak herubinek, czołga się do stóp matki. Najstarszy syn powraca z łowów przynosząc pęk zwierzyny. W bliskości ojca siedzi wsparta o skałę starsza córka, dorodna dziewczica z wieńcem niezabudek na głowie.

Tu sielanka zmienia się nagle w dramat. Widać znów wnętrze czarodziejskie zamku. Wodnice otaczają Meluzynę; na obliczu ich trwoga, w oku rozpacz, wypuszczają z rąk wieńce i złote liry. I zkażde taka zmiana? Oto ściany zamku zachwiały się w posadach, wnet zlecą im na głowę, bo wiarołomny Lusignan, słuchając złych podszeptów, w brew danemu słowu, otworzył tajemnicze drzwi sali: stopa śmiertelnika znieważyła próg święty.

Dziewiąty obraz najpiękniejszy ze wszystkich. Noc. Na czarném tle nieba, rysują się baszty zamku Lusignianów; z wnętrza tylko uderza światło, przez drzwi otwarte na krużganek. Duch Meluzyny wspina się tajemniczo po gziemsach. Miłość macierzyńska przyciąga ją z za świata, do kołyski dwojga najmłodszych dzieciak, uspiionych koło siebie. Strumień światła oblewa złotowłose ich główki. Tymczasem w mroku nocy widać nieszczęśliwego Luzigniana, jak w szacie pielgrzymiej, z kosturą w ręku, idzie za szczęściem zatraconém.

Złamany boleścią, w zebranych łachmanach, przychodzi na koniec do owej leśnej ustroni, gdzie poraz pierwszy napotkał czarodziejkę. Meluzyna jak wówczas opuściła wody potoku, chodzą z towarzyszkami w pośród wrzosów. Spostrzega małżonka, rzuca się w jego objęcia i gorącym uściskiem porwuje go z sobą na dno wody.

Ostatni obraz zupełnie podobny do pierwszego, przedstawia znów piękną wodnicę, w głębi strumienia. Ta sama grota ociepla jej głowę zwieńczoną. Postać jej nawet taż sama, ale na obliczu, zamiast uroku nieświadości, odbija w smętnej zadumie świat prześnionych marzeń i niespełnionych nadziei!

Patrząc na ten odtworzony pędzlem poemat, przyszło nam na myśl, do ilu to obrazów dostarczyłyby wątku Świtezianki i Dziady nieśmiertelnego wieszczą naszego.

Schwindt pracował do końca życia, z prawdziwie młodzieńczym natchnieniem. Na miesiąc przed jego śmiercią, przypadła właśnie ośmdziesięcio-letnia rocznica urodzin Grillparzera. Jako współziomek i osobisty przyjaciel, pragnął wykonać na cześć jego, obraz godny uroczystego obchodu. Jakaż to była boleść mistrza, gdy poraz pierwszy, wzrok osłabiony wiekiem i pracą, wypowiedział mu posłuszeństwo. Przedmioty dwoiły się w jego oczach. Wkrótce potem przyszła choroba, z której Schwindt nie miał powstać. Umarł 8 lutego 1871 r.

Wiedeń uczcił pamięć wielkiego artysty, wystawieniem jego dzieł sprowadzonych ze wszystkich stron Niemiec. Jest ich około 200 na wystawie. Oprócz tego wiele szkiców i rysunków, które nie znalazły już miejsca lub zbyt późno nadesłane zostały, wystawione będą w ciągu miesiąca czerwca.

Znajdujemy w kilku dziennikach włoskich, chlubne sprawozdania z koncertu danego przez hrabiego Władysława Tarnowskiego w Wenecyi: *La Gazetta Ufficiale di Venezia, la Stampa, il Rinnovamento, il Tempo*, zgodnym chórem przyklasnęły naszemu artyście. Oprócz utworów Szopena, Fielda i Liszta, których wykonanie żywo zajęło słuchaczów weneckich, zwróciła szczególniej ich uwagę *symfonia d'un dramma d'amore*, utworu samego koncertanta. Symfonia ta — mówi — *Rinnovamento*, odkrywa w kompozytorze talent niezaprzeczony, wysoką znajomość kontrpunktu i instrumentacji; koncert dany był w sali Ridotto, na korzyść Towarzystwa orkiestry Teatru *Fenice*.
